

Ile tu spraw się krzyżuje. Moje zamierzone w czasie odejście od Mirona – najmniej ważne. Będzie pisarzem, jakim może być. Ja na to wpływu mieć nie mogę. Może moje odejście postawi czyściej, inaczej jego sprawę pisarską.

Krzywdzę Mirona, pisząc do Ciebie ten list. Narazam być może Twój stosunek do niego. On to dowiódł tu jak łaskę losu. To w nim ciągle jest.

Nie myśl, że jest we mnie zemsta za to, że na niego spadło, że on przejął jakąś – może nikłą – ale pierwszą warstwę już nie do powtórzenia mojego z Tobą spotkania. Przeciwnie.

Przeciwnie. Właśnie po powrocie, po Tobie wierzyłem, że mogę mieć z nim uczciwą przyjaźń.

Ale już mam dane, że (tak to dawno określiłem) podświadomie pracuje w nim nadal instynkt samozachowawczy – bezwzględny i ślepy.

Przez jego taktykę od początku, od zbiorowej hysterii w zaraniu (Tarczyńska), „sława” tego teatru – aż do mętnych i bzdurnych wypowiedzi Sandauera w dyskusji w „Dialogu” – jest czymś aż hochsztaplerskim (jak się pisze?)

—

W jakiś sposób powód tych wynurzeń ma związek z tym (jeszcze raz) Twoim nawrotem do myślenia o moim pisaniu.

Nic mojej pewności nie zmieni.

Nie napiszę nic, co mógłbym uznać za wartość, za konieczność.

Jedynie, za co będę odpowiedzialny, to malarstwo Ludmiły. Jej malarstwo.

To mi wystarczy. I to byłaby najcięższa moja klęska, gdyby zawiodło.

ZNISZCZ

przerwywam i wysyłam ten błotnisty list

Twój Ludwik

117. Hering do Czapskiego

59

pisane w początku maja
skreślone 15 maja¹⁰

Szaleństwo chyba zdecydowało, że tamten błotnisty list wysłałem. Nie strach, nie wstyd, że kompromituje mnie – ale że jest krzywdzący Mirona.

Zaledwie napisałem to zdanie – już pod koniec załamała się we mnie potrzeba samoukorzenia. Już chciałem poprawić „krzywdzący Mirona” na „może krzywdzący Mirona”.

Ciągle nie wiem – raczej wiem – że powodu mojej pretensji w listach nie wyklarowałem. To nie sprawa ambicji autorskiej i targ o „moje” „twoje”.

To nie sprawa zdrady czy pretensja o zdradzenie mnie.

To nie sprawa kłamstwa nawet, a sprawa procesu zakłamywania i siebie mająca w sobie coś przerażającego: jak nowotwór, jak przenoszenie się komórek (tkanki) wątroby na tkankę płuc. Ubytki i przybytki; deformacje – jak przy trzęsieniu ziemi. Nieświadomość (może) u chorego tego procesu – a raczej nieświadomość świadka, który nagle znajduje dół – gdzie wczoraj była góra.

I po tym nawet przy uświadomieniu chorego, który przysięga o zachowaniu w przyszłości środków prewencyjnych i daje najszybciej przyrzeczenia i możliwe gwarancje – widzisz znów te wpełzania i cyrkulacje – konsekwentne i nieubłagane.

To nie sprawa moich strat czy zysków – ale fakt, że ten sam potencjał partnera pracujący na wspólną przyjaźń, angażujący ciebie we wspólny proces – ten sam potencjał w jakimś momencie zaczyna (bez wstrząsu) pracować na zniszczenie śladu po Tobie. (To pewnie trwa równocześnie).

¹⁰ Adnotacja L. H.

Może to można nazwać „poszukiwaniem czasu straconego”, a nie morderstwem wstecz na czasie wspólnym (?).

Ale przecież jak przeszedł przez furtkę w Maisons-Laffitte i znalazł Ciebie takiego jak w sobie – to dlatego, że Ja mu Ciebie przekazałem we „wspólnym czasie” – tak jak jego Tobie.

I jeśli wiele z „Waszego teatru” mogło się odbyć tam – to ja w tym byłem.

I jeżeli go to ciągle – jak cud zdumiewa – no to jest może jedyny cud, przez który życie nie jest zupełnym śmieciem.

Ale ten cud to „tylko” skutek procesu – moment procesu, który był taki, a nie inny.

Ten list strasznie pisany. Zła literatura. Mógłbym może przy moim „czuciu” i nacytaniu zrobić z tego „dobrą literaturę”. Albo rzucić jako niewartą „formy” – „złą” w założeniu. Nieintelektualną –

Jestem bardzo brudny człowiek. Moje życie jest ciągle szargane przeze mnie. Jest, jakie jest. Dało mi wszystko złe i dało mi dobre. Liczy mi się całe jako mój „proces”. C a ł a m o j a c z u j n o ś ć – to żeby nie z a t r z e ć w nim nic. Nie dlatego żebym się n i e b a ł, nie wstydził całego brudu – ale żebym nie zatarł okrusku, nie zasypał choćby iskierki. To tak bym odczuł jak grzech „przeciw Duchowi” – gdybym wierzył. Czy to jest ten sam bunt, który we mnie pamiętasz. Nie wiem. Nie czuję, żebym był inny. Zmieniłem się? Nie wiem.

A może wydaje mi się, że nie „zmieniłem”, że nie fałszuję swojego procesu w s t e c z?

Nie. Nie byłby mi tak nieliteracko bliski D o s t o j e w s k i.

15 V – 59

Przerwałem wtedy – a wydawało mi się takie niezbędne i możliwe do wyklarowania wszystko, co istotne w tym konflikcie Mironowym. –

Już nie wrócę. Żałuję wysłania pierwszego listu.

W międzyczasie doszło do tego, że powiedziałem – musiałem powiedzieć – wszystko [~~przekreślone~~] nie, nie wszystko, co myślę. Że nie widzę możliwości obcowania.

Po kilku dniach najprościej, najszczerzej powiedział, że nie wie, dlaczego dotychczas tak postępował, bo przecież „nic nie traci” (stwierdzenie Ludmiły), przyznając mój udział tam, gdzie on j e s t. I „obcujemy” bez przymusu i udawania dalej.

(Czy jest sens?)

Muszę być jak ucinąć końce tego, co w ostatnich listach rozpętałem.

Jedno, do czego chciałbym wrócić – bo może w tym jakoś siebie przekażę – to „proces”.

To mnie naszło przy Twojej wystawie, przy Twoim malarstwie – w Krakowie. To wtedy wyjaśniło, ustaliło mój stosunek do sztuki, sensu twórczości, istoty twórczości.

To się (może pozornie) jakby rozszerzyło we mnie, przerzuciło na inne (?) kategorie już nie twórczości samej, ale samego dramatu, sensu życia. Będę próbował – będę musiał przez bełkot – inaczej boję się, że źle zrozumiesz całe to moje bałaganiarstwo z Mironem. Że sterczy tam komicznie, fałszywie, nieistotnie dla mnie fakt „p o k r z y w d z o n e j a m b i c j i t w ó r c z e j”.

16 V – 59

Gdybym miał nie tak rozszarpany czas – nie wysłałbym i tego – próbowałbym pisać jeszcze raz, czyściej, odpowiedzialniej.

Wysłałem jako konieczne dopełnienie pierwszego listu – a płacę coraz bardziej.

17 V 59

Ostatni w kolejności list

„Dopala” się już niedziela – „Zielone Świątki”. Od rana jestem w swoim legowisku z decyzją napisania listu do Ciebie – myślę do Ciebie i nie napisałem słowa. – Za oknem słońce, ptaki słyhać, dzieci, radioszlakiery z różnych stron i różnych odległości.

W tym myśleniu rozpętany byłem na wszystkie tematy ostateczne i aktualne: proces twórczy, cybernetyka, „sputniki”, malarstwo Ludmiły, Miron, teatr i nie wiem już co. – Mam ustawiony przed sobą ostatni obraz Ludmiły: autoportret do Marii Timofiejewny (Kuternózki). Bardzo on mnie wiąże. Ma ją malować i drugi, i trzeci raz. –

A może to nieporozumienie? – Są jakieś niewątpliwe związki (w tym i w innych obrazach) z Twoim malarstwem. Ale jak daleko w malarstwie można iść w temat – fabułę. Chodzi o wyraz – uśmiech, który znaczy wszystko. W co zaszedł Podkowiński? Piszę – retorycznie wątpiąc. Ogromnie fascynuje mnie ta pasja Ludmiły.

A jak przegra – no to przegra. Powód jest autentyczny. (To słówko gra – przegra jest fałszywe – tylko pomocnicze). To jest nasza wielka miłość ta Timofiejewna. Wydaje mi się, że ja nie znam innej postaci kobiety w literaturze takiej „triumfującej nosicielki” idei miłości. Mam od kilku miesięcy *Biesy*. Nie mogę wrócić do czytania całości. Zawsze pociągnie mnie Ona albo Kiryłow. –

Ale ostatecznie Ona.

Był Sokorski. Zawsze – (nawet w trudnych, groźnych momentach) nie wiem, jak klarować mój stosunek do niego: nie jest gorszy niż inni – a ma ludzkie walory, których brak innym – pozornie bardziej czystym. Pytał Ludmiły, czy myśli jeszcze o jakiejś postaci z literatury do malowania. Myślała o Gruszeńce (s a m e j) na temat: „a ja waszej rączki nie pocałuję” –

Powiedział, że to już niepotrzebne, bo się znalazło w tym portrecie Kuternózki.

I jakże lekceważyć takiego odbiorcę? – Myśmy w swoich z Ludmiłą intymnych gadaniach też do tego doszli już dawniej. Z tych obrazów, które mu pokazała – wybrał te, które i nam są bliższe. –

Zawsze czuł się opiekunem czy odkrywcą Ludmiły. Pokazała mu zaproszenie na wystawę w Paryżu. Jak najbardziej popiera i obiecał jakimiś telefonami ułatwić, poprzeć, żeby jej tu „urzędniczy” i zazdrośni przyjaciele nie zagrzebali tej szansy.

Grzebię się w tym niby-pisaniu do Ciebie. Jest mi z Tobą dobrze. Niczego się nie boję, niczego się nie wstydę.

Może zbyt beztrzesko przyjmuję ten cały zamęt, w który mogłem Ciebie przez moje listy wprowadzić. Zacznie mnie to może znów w jakiejś chwili prześladować i dręczyć – że niechlujne i powierzchnowe te moje relacje – że raczej milczeć – albo zdobyć się, mieć wolę i choćby cząstkę wyklarować możliwie czysto i do końca.

Otrzymałem z PIW-u resztę za *Pankiewicza* – blisko 8.000. – Połowę przekazałem do dalszej dec. Rózi. – Od niej otrzymałem 1.500 – część za rysunki do Muzeum. – To stanowi dużo – tyle co 3-4-miesięczna moja pensja. – Wrzuciłem do kasy domowej, bo tam była d z i u r a – a teraz spokój na dłużej. – DZIĘKUJĘ. –

Mirona stypendium było pod znakiem zapytania – dostał z jakiegoś funduszu na okres 3-miesięczny. – Przez czas, dokąd się to rozważało (a ja już miałem pieniądze), postanowiłem wewnętrznie, że nie pomogę. – Że to nie są pieniądze moje. Dom – Ludmiła – to mnie zobowiązuje. Nie wiem, jak w przyszłości ustawi swoje sprawy. – Nie mogę, nie chcę o tym myśleć. Ludmiły sytuacja też nie wygląda inaczej. –

J e s z c z e W Y S T A W A. Ludmiła (i ja) jest tym zdumiona i aż przerażona. Dziękuję, Dziękuję. – W tych dniach jaśniej będę wiedział, na co mogę liczyć tu, jeśli chodzi o ułatwienia czy przeszkody. –

Całuję – Ludwik

ZROBIĘ WSZYSTKO, ŻEBY TEJ SZANSY OD CIEBIE nie zmarnować.

118. Czapski do Heringa

19 V 1959

Drogi mój – na Twój list musiałbym odpowiedzieć książką całą – więc będę próbował być suchy i lakoniczny.

Przedtem jednak Ludka. Tylko dla Ciebie

Czy otrzymała zaproszenie na wystawę w Galerii na Ile St. Louis¹¹. – Nie potrzebuję wątpić, że zgadłeś, że zaproszenie to związane jest ze mną. Proszę bardzo, na ten list niech odpisze oficjalnie, jakby o mnie nie wiedziała. Daty muszą być ustalone wcześniej, jeżeli data proponowana Wam nie dogadza – zaproponujcie i n n a – ale radziłbym nie z a n a d t o odkładać, bo może p ó ź n i e j być trudniej użyć tej wystawy jako argumentu. W tej galerii będą wystawiać różni malarze – i obok tych z kraju będą i Francuzi, i tutejsi emigranci etc. Jeżeli projekt zdaje się Wam fantastyczny i niemożliwy, też napiszcie, bo wtedy skorzystaliby inni. Myślę, że mogę L. zagwarantować, że jeden, 2 obrazy będą kupione i to J e j, W a m dałoby możliwość tu pobyc bez kłopotów.

Tylko jedno przypomina mi się nagle: W l i s t o p a d z i e t e g o roku będę miał wystawę w Londynie, wskutek tego między połową października i końcem listopada nie będę w Paryżu. Może wtedy styczeń byłby lepszy? Wrzesień jest jeszcze zły na Paryż.

Przechodzę do Ciebie i do Mirona. – Wspominam Zygę. Jego drapieżny egotyzm. Czasami myślę, że bez tego człowiek nic nie osiąga. – Że moje liczne porażki, moje n i e d o j ś c i e do czegoś, do czego mógłbym dojść, było związane z tym, że jestem egotystą m n i e j s z y m (też jestem). Egocentryzm Mirona, iluż ludzi, iluż artystów mi przypominał, taka pszczołka bierze miód, gdzie miód jest, jeżeli kto w tym jest n i e normalny, to Ty – bo Ty zawsze, od lat dawałeś swój miód innym, nie rachując, i to narastanie u Ciebie jakby potrzeby powiedzenia: t o m o j e – a t o T w o j e, świadczy o ulotnym procesie m o ż e u C i e b i e? Zdaje mi się, że są typy ludzi, którzy naprawdę i tylko są i mogą być inspiratorami – a sami niezdolni zrobić, wcielić swój świat. Taki jest chyba Kot Jeleński, takim był Cavé, przyjaciel Degasa, ale coraz bardziej, coraz pewniej myślę, że u Ciebie tak nie jest, że n a w e t L u d k a po jakimś Ciebie musi zdradzić – bo jeżeli ona się rozwinie do końca – ona będzie musiała stworzyć swój świat, który przez reakcję może będzie m u s i a ł od Ciebie się odbić.

¹¹ Lambert na Wyspie Świętego Ludwika.

Cybis mi opowiadał, że kiedyś chciał „zabić” Zygę – bo widział w nim Rafaela i musiał go „zabić”, żeby samemu malować. To są rzeczy tragiczne i ostateczne, które naturalnie istnieją w tej tonacji, kiedy człowiek naprawdę skoczył do głębokiej wody. Twoja spółka z Mironem jest dla mnie może tak bardzo ciekawa i tak istotna, że to przecie operowanie ognia i wody – że Wy jesteście nie o b o k siebie, ale n a p r z e c i w k o. W przeciągu całego czasu, co z nim spędziłem, nie raz, ale kilkadziesiąt razy odkrywałem, jakim jest rasowym a r t y s t ą – jak widzi – jak korzysta, jak przy tym myśli i widzi teatralnie. To, co mówisz o stosunku krzyżówkowym do wiersza, to wyczuwałem co chwilę i to mi się wiąże z jakąś zadziwiającą obojętnością – jakimś nieistnieniem m o r a l n y m. To, co można z gruba nazwać „dostojewszczyzną”, która u Ciebie z bliskich mi ludzi chyba jest najsilniejsza i n a j d a l s z a o d l i t e r a t u r y (w złym znaczeniu tego słowa), Twoje pokrewieństwo z Hiobem i Maldorem (psy wyjące!), surrealistami – to wszystko u Ciebie jest n a k r w i – to nie istnieje dotychczas u Mirona – cały patos Mirona to o n, to j e g o teatr, to j e g o wiersz – ale czy tworzywo jest krzyżówką, czy metafizyczne – czy to mu nie jest wszystko jedno? Jak długo taka para może istnieć, czy Twój instynkt odejścia nie jest T w o j ą k o n i e c z n o ś c i ą? Dostałem po Twoim liście przemiły list od niego, gdzie mówi o Tobie i Ludmile jak o jedynych, jedynych mu bliskich ludziach. Mówisz o g r z e, że nawet jego powiązania mniej lub więcej pozorne, winne czy pyszne to zawsze jest gra, co wygodniej. Myślę, że bardzo podobnie mówiliśmy o Zydze z Marynią, kiedy z nią żył, oświadczając się coraz to innym paniom. (Oświadczył się Dosi Berlinerblau, kt. się spodobał, a najnaiwniej powiedział: bo jak się z Tobą ożenię, to będę miał „pracowienkę”, i ona naturalnie zgorzona zerwała!), kiedy mnie powiedział, kiedy ja na Nowy Rok u Cybisów powiedziałem, że „w tym roku chciałbym zdobyć pracownię”, Zygę na mnie popatrzył ze złością – „Ty w i e s z, że j a muszę ją mieć pierwszą”. Ileż razy z nim zdecydowaliśmy zerwać i zawsze wracał do nas, sami go znowu braliśmy na plecy, bo wpadał bez nas w nędzę i chorobę – bo to było też nasze dziecko, bo to był artysta, któremu było za co przebaczyć, bo go kochaliśmy.

Ale przysłała chwila, gdzie Marynia od niego odeszła, bo już NIE MOGŁA. Nie czuję tego, co piszesz przeciw Mironowi – ale czuję to całą siłą pod Twoim kątem. Ty jesteś tutaj w grze, on nie zginie – ale Twoja wizja świata musi być wyrażona do końca, a tego nie robi Miron i nawet nie robi Ludmiła, zresztą klucze do rozładowania tej miny są w Tobie i tylko w Tobie. Miron jest od Ciebie zależny, myślę, niezmiernie, ale „i z kamieni można zrobić synów Abrahamowych”¹² i nie wiemy nic, ja nie wiem nawet i Ty, jaka jest jeszcze jego droga rozwoju, jak on się jeszcze o życie zajął.

Teraz chcę jeszcze punkt po punkcie zareagować na parę Twoich słów listu:

Nie wierzę, byś potrafił niepostrzeżenie odejść, że za długo wyłącznie prawie żywił się Tobą – ale w tych sprawach, jak w miłości, nie ma innego wyjścia jak prawda, każde inne to bomba zegarowa.

O „fascynacji werbalnej” – ależ to jest cały Miron – i nie wiem, czy on tutaj nie jest bardzo współczesny. Dla iluż malarzy współczesnych istnieją fascynacje materii malarskiej, tego, czy będą kolor strzykać strzykawką, czy bluzgać przez skrzynię dziurkowaną, te nieoczekiwane krzyżówki malarskie są dla nich treścią ich pasji, nic więcej.

Ty tu odgrywasz rolę korzenia, który wychodzi z ziemi, z k o n k r e t u, i na drzewie, które z Ciebie wyrosło, on, ptaszek, polatuje i pięknie polatuje.

Nie krzywdzisz Mirona, pisząc o nim do mnie – ja się z nim nigdy nie spotkałem na tej warstwie, na której Ciebie spotkałem, jego urok i klasę odczułem, jest mi i miły, i ciekawy – ale wszystko, co dotykało mnie najgłębiej w rozmowie z nim, było jakoś od Ciebie i dla Ciebie. To nie frazes, wierz mi.

¹² Mateusz 3,9: „Powiadam wam bowiem, że Bóg może z tych kamieni wzbudzić dzieci Abrahamowi”.

X

O sobie tylko parę faktów. Robię wystawę w Londynie 11 XI 1959 do 1 XII i byłem tam trzy dni. Latem pewno nie wyjedziemy nigdzie. Stan Jean jest nie tylko beznadziejny – ale nie wiadomo, ile jeszcze ta tortura może trwać, przy zupełnej świadomości już nic nie może mówić, Elżbieta co parę minut wypompuje mu ślinę, bo już łykać nie może, karmi przez rurkę płynami tylko. W domu lekarz ojciec i lekarz brat już mają tego dość, Matka szlachetna, kochająca jedyna naprawdę i do końca sama, ma jakiś nowotwór w macicy i krwotoki, i jedna Elżbieta bez nocy, bez dnia spokojnego – ostatnimi siłami utrzymuje przy życiu Jean. – Wszystkie Twoje ataki na „dobrego” Boga miałyby wiele argumentów, gdybyś i na to cierpienie, zmęczenie patrzył, i dlatego mówię o „dobrym Bogu” w wymiarze ludzkim (i dobry Bóg zlitował się i jest dziś pogoda, dobry Bóg zlitował się i dał mi mniejszy wymiar podatków). Trzeba nie myśleć do końca – myśląc do końca, to dobroć jest innego wymiaru zupełnie i chyba już inaczej ją trzeba by nazwać. – My chcemy być blisko ich obojga i do nich jak możemy na zmianę dojeżdżamy. Może „Kultura” zdecyduje się wydać w lipcu, sierpniu moją książkę o malarstwie narreszcie, bo w kraju już nie ma mowy – co to są te pieniądze, któreś przysłał Elce – i le wzięłeś sobie, PROSZĘ, NAPISZ, bo na pewno siebie skrzywdziłeś. –

Czy znasz S. Weil wybór w tłumaczeniu Miłosza – strasznie chcę, byś tę książkę miał. Nie widzę innej książki, nie widzę innego człowieka, który mówi o życiu, o cierpieniu, krzywdzie i Bogu z bardziej okrutną uczciwością. – Mam ją przy łóżku zawsze od ponad 10 lat.

Całuję Ciebie, mój najlepszy i bliski. Boję się o Twoje siły, o Twoje zdrowie – żyjesz życiem tak bardzo wytężonym. Przecie musimy się jeszcze zobaczyć

J.

PISZ. PISZ. PISZ.